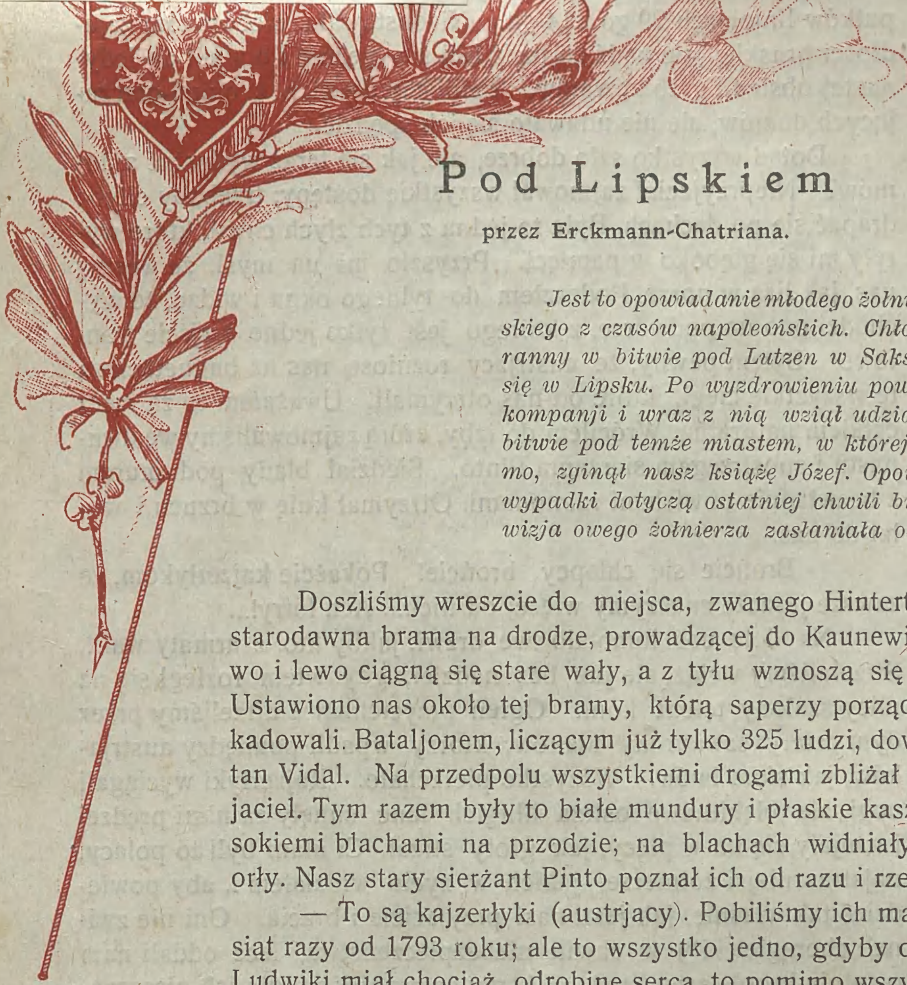




leg. 348



Pod Lipskiem

przez Erckmann-Chatriana.

Jest to opowiadanie młodego żołnierza francuskiego z czasów napoleońskich. Chłopiec ten był ranny w bitwie pod Lutzen w Saksonji i leczył się w Lipsku. Po wyzdrowieniu powrócił do swej kompanji i wraz z nią wziął udział w wielkiej bitwie pod tymże miastem, w której, jak wiadomo, zginął nasz książę Józef. Opowiedziane tu wypadki dotyczą ostatniej chwili bitwy, gdy dywizja owego żołnierza zastąpiła odwrót armji.

Doszlśmy wreszcie do miejsca, zwanego Hintertor. Jest to starodawna brama na drodze, prowadzącej do Kaunewitz. Na prawo i lewo ciągną się stare wały, a z tyłu wznoszą się kamienice. Ustawiono nas około tej bramy, którą saperzy porządnie zabarykadowali. Bataljonem, liczącym już tylko 325 ludzi, dowodził kapitan Vidal. Na przedpolu wszystkimi drogami zbliżał się nieprzyjaciel. Tym razem były to białe mundury i płaskie kaszkiety z wysokimi blachami na przodzie; na blachach widniały dwugłowe orły. Nasz stary sierżant Pinto poznał ich od razu i rzekł:

— To są kajzerłyki (austriacy). Pobiliśmy ich mało pięćdziesiąt razy od 1793 roku; ale to wszystko jedno, gdyby ojciec Marji-Ludwiki miał chociaż odrobinę serca, to pomimo wszystko byłiby oni po naszej stronie*).

Już od jakiegoś czasu słyhać było kanonadę z drugiego końca miasta. To Blücher atakował przedmieście halskie. Wkrótce potem rozległy się strzały z prawej strony, to Bernadotte atakował przedmieście Kohlgartentor. Prawie jednocześnie pierwsze pociski austriackie upadły na nasze stanowiska, inne poszły wślad za nimi. Wiele granatów, przeleciawszy nad bramą, pękało wśród kamienic lub na ulicach przedmieścia.

*) Marja-Ludwika, żona cesarza Napoleona, była córką ówczesnego cesarza austriackiego.



O godzinie dziewiątej austriacy sformowali się w kolumny szturmowe na drodze do Kaunewitz. Ogarnęli nas ze wszystkich stron, lecz pomimo to bataljon trzymał się aż do dziesiątej. Wreszcie trzeba było się cofnąć za stare wały, a kajzerłyki pędzili za nami przez wyłomy pod krzyżowym ogniem naszych dwóch pułków linjowych 29-go i 14-go. Niedostawało nieborakom zajądłości pruskiej, ale bądź co bądź bili się mężnie i o wpół do jedenastej obsiedli grzbiet wałów. Paliliśmy do nich z okien otaczających domów, ale nie udawało się ich spędzić.

Dotąd wszystko szło dobrze, ale jak się teraz wydostać z domów? Nieprzyjaciel zajmował wszystkie dostępy; trzebaby chyba drapać się po dachach. Była to jedna z tych złych chwil, które wyryły mi się głęboko w pamięci. Przyszło mi na myśl, że wezmą nas, jak lisa w norze. Podeszłem do tylnego okna i widzę, że wychodzi ono na podwórze, z którego jest tylko jedno wyjście frontowe. Byłem pewny, że austriacy rozniosą nas na bagnietach za te wszystkie ciągi, które od nas otrzymali. Uważałem to za rzecz całkiem naturalną. Wróciłem do izby, którą zajmowaliśmy we dwunastu i spostrzegam sierżanta Pinto. Siedział błądy pod murem z bezwładnie obwisłymi ramionami. Otrzymał kulę w brzuch i wołał do nas:

— Brońcie się chłopcy, brońcie! Pokażcie kajzerłykom, że zawsze jeszcze znaczymy więcej od nich... Ach łotry!...

Na dole coś łomotało we drzwi, jakby kto z armaty walił. Strzelaliśmy wciąż, ale już bez nadziei, gdy wtem rozległ się na ulicy szalony tętent koni. Ogień przycichnął i ujrzelśmy przez dym cztery szwadrony ułanów, którzy wpadli pomiędzy austriaków, jak sfera lwów. Wszystko pierzchało. Kajzerłyki wyciągali nogi, ale błękitnawe ostrza długich lanc sunęły za nimi prędkiej i wbijały się im w plecy, jak groty strzał. Ci ułani byli to polacy, najstraszniejsi żołnierze, jakich w życiu widziałem i, aby powiedzieć tak właśnie, jak jest, nasi przyjaciele i bracia. Oni nie zwinęli chorągiewki*) w chwili niebezpieczeństwa, lecz oddali nam ostatnią kroplę swej krwi... A my co zrobiliśmy dla ich nieszczęśliwego kraju?... Gdy myślę o naszej niewdzięczności, to serce mi się kraje.

Ostatecznie polacy nas wyswobodzili. Widząc ich fantazję i dzielność, wypadliśmy z domów, uderzyliśmy bagnietami na austriaków i odparliśmy ich aż do rowu. Odnieśliśmy zwycięstwo, ale czas był myśleć o odwrocie, bo nieprzyjaciel zalewał już Lipsk.

*) Niemcy, którzy byli sprzymierzeńcami Francji w wojnie z Rosją, zdradzili ją i przeszli do nieprzyjaciela, gdy Napoleonowi zaczęło się niepowodzić.

Bramy Halli i Grimmy zostały zdobyte, a bramę Peterstorf zdradziecko oddali nieprzyjacielowi nasi przyjaciele nasi oraz inni przyjaciele badeńczycy.

Sformowaliśmy się prędko i pomaszerowaliśmy wielkim gościńcem wzdłuż rzeki. Ułani oczekiwali tam na nas, a gdy austriacy znów zaczęli napierać, to szarżowali raz jeszcze, aby odrzucić nieprzyjaciela. Cóż to dzielni ludzie i wspaniali jeźdźcy ci polacy! Każdy, kto ich widział idących do ataku, nie mógł wyjść z podziwienia, zwłaszcza w takiej chwili.

Zbliżaliśmy się do mostu na Elsterze z niemłą radością, bo za mostem był ratunek. Ale dostać się tam nie było wcale łatwo, bo wzdłuż całego gościńca pędził tłum ludzi pieszych i konnych, aby prędej się przeprawić, a nowe tłumy przybywały z dróg bocznych. Na moście tłum tworzył jedną zbitą masę głowa przy głowie i posuwał się bardzo wolno.

Gdyśmy już byli o jakie dwieście, czy trzysta kroków od mostu, przysłała mi chętka wpaść w tłum i dać się unieść na drugi brzeg, ale kapitan Vidal, porucznik Bretonville i inni wołali:

— Pierwszemu, co wyjdzie z szeregu, kula w łeb!

Co za los przekłety! Być tak już blisko ratunku i myśleć sobie: „Nic nie pomoże, trzeba zostać“.

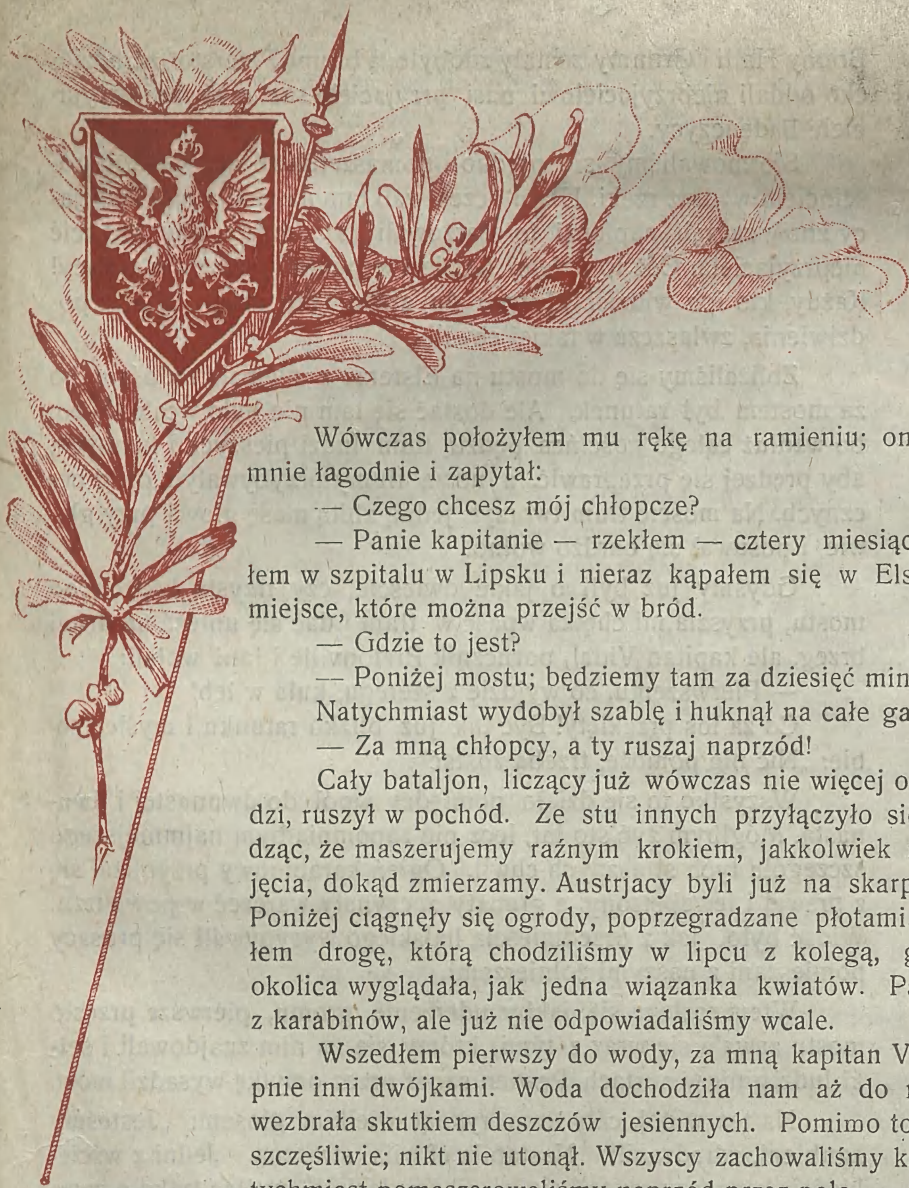
Wszystko to się działo pomiędzy wpół do dwunastej i dwunastą. Mógłbym żyć sto lat, lecz nie zapomniałbym najmniejszego szczegółu tych strasznych chwil. Ogień karabinowy przybliżał się z prawej i lewej strony, a granaty zaczynały warczeć w powietrzu. Widać było, jak z przedmieścia halskiego wysypywali się prusacy pomieszani z naszymi żołnierzami.

Wtem rozlega się, jakby uderzenie gromu, pierwsze przęśło mostu zawala się wraz z tymi, którzy się na nim znajdowali i setki ludzi ginie w nurtach. Pewien saper przez omyłkę wysadził most.

Na ten widok cały tłum ryknął wielkim głosem: „Jesteśmy zgubieni, zdradzeni!“ Nastąpiła chwila straszna. Jedni z wściekłością rozpaczy rzucali się na nieprzyjaciela, myśląc tylko o zemście, inni łamali broń oskarżając ziemię i niebo o swe nieszczęścia, konni rzucali się w pław, za ich przykładem poszło i wielu piechurów, nawet nie zdejmując tornistrów. Okropny był widok tych nieszczęśliwych, którzy szamotali się w toniach, wrzeszcząc rozpaczliwie i czepiając się jeden za drugiego.

Kapitan Vidal był to człowiek spokojny; jego zimna krew utrzymywała nas dotychczas w karności, ale w owej chwili i on nawet stracił otuchę. Schował szablę do pochwy, zaśmiał się z dziwnym wyrazem twarzy i zawołał:

— Skończyło się!



Wówczas położyłem mu rękę na ramieniu; on spojrzał na mnie łagodnie i zapytał:

— Czego chcesz mój chłopcze?

— Panie kapitanie — rzekłem — cztery miesiące przepędziłem w szpitalu w Lipsku i nieraz kąpałem się w Elsterze. Znam miejscę, które można przejść w bród.

— Gdzie to jest?

— Poniżej mostu; będziemy tam za dziesięć minut.

Natychmiast wy dobył szablę i huknął na całe gardło:

— Za mną chłopcy, a ty ruszaj naprzód!

Cały bataljon, liczący już wówczas nie więcej od dwustu ludzi, ruszył w pochód. Ze stu innych przyłączyło się do nas, widząc, że maszerujemy różnym krokiem, jakkolwiek nie mieli pojęcia, dokąd zmierzamy. Austriacy byli już na skarpie gościńca. Poniżej ciągnęły się ogrody, poprzegradzane płotami. Rozpoznałem drogę, którą chodziliśmy w lipcu z kolegą, gdy cała ta okolica wyglądała, jak jedna wiązanka kwiatów. Palono do nas z karabinów, ale już nie odpowiadaliśmy wcale.

Wszedłem pierwszy do wody, za mną kapitan Vidal, a następnie inni dwójkami. Woda dochodziła nam aż do ramion, gdyż wezbrała skutkiem deszczów jesiennych. Pomimo to przeszliśmy szczęśliwie; nikt nie utonął. Wszyscy zachowaliśmy karabiny i natychmiast pomaszerowaliśmy naprzód przez pola.

